Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 4. Września 1881 r. Tom XII.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 36.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

ZŁOTA NITKA

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ

(Ciąg dalszy.)

W mgnieniu oka po zapytaniu tem, całe towarzystwo, nie wyłączając staruszki a z wyjątkiem tylko ex-profesora, podzieliło się na obozy, różowej i żółtej róży. Okimski, gimnaziści, nawet milcząca dotąd i melancholijnie na różowe pończoszki swe spoglądająca piękna pana Emilja udzielali rad swych i wydawali zdania. Teraz nawet panna Emilja mówiła najgłośniej i z największym zapałem, nie dla tego zapewne, aby była żarliwą miłośnicą robót ręcznych, ale że gdy szło o rzeczy gustu, zdaniu jej należało się bezwzględne pierwszeństwo. Dobry gust specjalnością jej; świadczyły o tem malownicze draperje sukni i różowe pończoszki. W gwarze tym, przez zagadnienie pani Anny wywołanym, zadzwonił jękliwy, do tonu bolesnej skargi podniesiony głos staruszki. — Dla czego kawy nie dają?

— Felci nie ma — odpowiedziały chórem wszystkie prawie głosy.

— Ależ dla czego ona tak długo nie przychodzi?

— Może poszła na przechadzkę?

— W porę, bardzo w porę!

— Może zobaczyła jaki piękny widok natury! ona tak kocha naturę!

— I zapomniała o nas i o naszej kawie.

— Pani Felicja dziś źle wygląda. Może cierpiąca...

— A któż jej winien? czytuje po nocach, to potem i źle wygląda. Ja zawsze mówię, że dla kobiety wszystkie te mądrości...

— Do... do... don... ka... ka... karlos bi... bije się! — zrywając się z krzesła zawołał nagle p. Alojzy. — Zno... znowu bi... b... b...

Wtem otworzyły się drzwi i wszedł do salonu znany mi trochę, młody urzędnik z gubernatorskiego czy jakiegoś innego biura. Był to chłopak przystojny, dobrze ułożony, z wykształceniem umysłowem małem, ale wielkiemi potrzebami serca, bo cechą przeważnie go charakteryzującą było nieustanne kochanie się w jakiejś pani czy pannie. Zbyt ubogi jeszcze aby mógł ożenić się, składał ofiary na ołtarzach wszystkich piękności Ongrodu. Przytem oprócz pań i panien kochał on jeszcze poezję i odznaczał się zarówno wielką pamięcią, jak wcale niezwykłym darem do deklamacji, a w rozmowie, kwiecistością stylu. Wszystkie te przymioty jednały mu pośród pań wysoki stopień szacunku i sympatji. Objawiło się to i teraz, gdy wejście Teofila Siekierskiego sprawiło w salonie Olińskich wrażenie wielkie. Najżywiej uległa mu panna Emilja, co zresztą było zupełnie słusznem, gdyż spojrzenie czarnych oczu Teofila naprzód ku niej strzeliło, ale i panna Michalina wydawała się także zelektryzowaną nieco i z żywością, która odmłodziła zwiędłą jej twarz, zawołała, że teraz, kiedy pan Teofil przyszedł, trzeba zaraz zacząć grać w karty *bałamuta*, bo już z góry wiadomo, kto w czepku siedzieć będzie. Pokazało się jednak, że bez Felci ani w karty grać ani kawy pić niepodobna. Dom cały ze wszyskiemi swemi wygodami i przyjemnościami w nieobecności jej był jakby sparaliżowany. Znowu więc rozległy się wołania i wyrzekania.

— Gdzież jest Felcia? Dlaczego tak długo w mieście bawi?

Skończyłam rozmowę moją o interesie z gospodarzem domu, a gdybym nawet nie skończyła jej była, udałabym, że nic już więcej do powiedzenia nie mam, tak bardzo wyraźnie poobiednia drzemka zasnuwała mgłą łagodne jego oczy, taki wyraz ciężkiej z nią walki okrywał dobrą i poczciwą twarz jego. Spać mu się chciało okropnie, a jednak uprzejmym być nie przestał. Zapraszał mię na kawę, które to zaproszenie powtórzyły też matka, ciotka, siostra i córka jego, a gdy stanowczo odchodziłam, wszyscy razem wymogli na mnie przyrzeczenie, że przynajmniej innego dnia, jaknajprędzej, dom ich na dłużej odwiedzę. Potem pan Józef odprowadził mię aż do drzwi przedpokoju, a gdy starszy syn jego z grzecznym pośpiechem podawał mi okrycie, on jeszcze pomimo senności, która mocno utrudniała mu mowę, udzielał mi rad i upewnień, tyczących się interesu mego, a świadczących zarówno o prawości charakteru, jak o dobroci jego serca.

Mieszkanie Olińskich znajdowało się na drugiem piętrze jednej z kamienic miasta. Zstępując ze schodów, zobaczyłam poniżej siebie u jednego z zakrętów ich stojącą kobietę, której postawa uderzyła mię i nawet trochę zadziwiła. Była to kobieta wysmukła, bardzo kształtna, w ciemnem okryciu i czarnym kapeluszu, z pod którego widać było gruby warkocz, kasztanowatej barwy, z ognistym połyskiem. Stała nieruchoma zupełnie, z łokciem opartym o balustradę schodów, z kibicią naprzód nieco podaną i twarzą na dłoni wspartą. Postawa ta była wymowną. Wyrażała ona znużenie i zadumę. Stała tak i w ten sposób wspierała się na ręku, że z twarzy jej widziałam tylko część białego czoła i oczy duże, ciemnoszafirowe, powieką wpółspuszczoną przysłonięte, a smutnie, okropnie smutnie w dół zapatrzone. Nie słyszała zrazu zbliżających się ku niej kroków moich. Ja też przez chwilę przypatrywałam się jej

ciekawie. Domyśliłam się kim była, bo w drugiej ręce, bezwładnie spuszczonej, trzymała spory, zamknięty koszyk, zawierający pewnie ciastka do kawy. Oto dla czego nie wracała tak długo i tak nie w porę bawiła za domem. Oto co pochwyciło ją tu i zatrzymało? Zmęczenie o chwilę spoczynku wołające? czy marzenie natrętne i nieodegnalne? czy silniejszy nad siły jej moment żałości lub walki? Wszystko to razem malowało się w postawie i wyrazie jej oczu. Usłyszała nakoniec kroki moje, porwała się jak ze snu zbudzona i wbiegła na schody tak szybko, że przed oczami memi zaledwie mignął biały, delikatny kameowy profil jej twarzy.

Znalazłszy się na ulicy, o kilkaset kroków oddaliłam się od mieszkania Olińskich, gdy zdala już poznałam idącego naprzeciw mnie Adama Tarnickiego. Zdala nawet nie poznać go było niepodobieństwem, bo pełna siły i spokoju postawa, myślące i nieco dumne czoło, a tak w kroku jak i poruszeniach jakaś nieuchwytna dostojność, która piętnuje powierzchowność wysoce ucywilizowanego człowieka, wyróżniały go pośród tłumu nietylko ulicznego ale i wszelkiego innego.

Gdybyśmy naturę na obraz i podobieństwo swoje pojmowali, mniemać moglibyśmy, że jak my, doświadcza ona przystępów dobrego i złego humoru, chwil wezbranej i energicznej lub znużonej i niedołężnej twórczości. Gdybym naturę pojmowała w sposób powyższy, mniemałabym, że Adama Tarnickiego stworzyła ona w przystępie wielkiej dobroci i pięknego natchnienia. Była to pewnie jedna z najwyborniejszych i najkompletniejszych organizacyj ludzkich na ziemi. Rolnik z zawodu, był on zarówno czcicielem jak znawcą nauki, a na dnie piersi swej nosił iskrę poezji i entuzjazmu, która była przyczyną wielu jego i cnót i cierpień. Żartując niby mówiłam mu zawsze, iż ciężki grzech popełnia, nie rozpalając tak długo rodzinnego ogniska, po prostu nie żeniąc się. Wkrótce dosięgnie lat 40, kiedyż potem będzie mógł nasycić się ciepłem tego ogniska? Kiedy dla społeczeństwa wyhoduje podobnego do siebie syna? Kiedyż nakoniec uszczęśliwi istotę jaką do płci nieszczęśliwej należącą? Na to wszystko odpowiadał mi niekiedy żartem także, częściej jednak poważnemi a trochę smutnemi słowy:

— Nie znalazłem. Nie widziałem. Nie znam.

Nie znalazł, nie zobaczył, nie poznał kobiety takiej, któraby odpowiadała potrzebom i serca i umysłu jego. Niestety! nie żył on tylko sercem a najszczęśliwiej jest żyć tylko sercem; skoro się bowiem w dodatku i głową jeszcze żyje, wnet i serce to dziwnych, licznych a bardzo despotycznych nabiera wymagań. Od pewnego czasu jednak zauważyłam, że przedmiot ten rozmowy począł Tarnickiemu sprawiać przykrość. Przestałam też go w rozmowach dotykać i tylko w samotności ducha zapytywałam siebie: czyżby nakoniec znalazł, zobaczył, poznał?...

Powitaliśmy się jak zwykle bywało, po przyjacielsku i serdecznie. Powiedziałam mu zaraz, że idę od Olińskich.

— A ja do nich — odpowiedział.

Nie słyszałam nigdy o tem, że znał rodzinę tę. Powiedział mi, że znał ją od roku, a odwiedzał zrazu bardzo często, potem rzadziej, zawsze jednak ilekroć był w mieście, co parę tygodni więc, czasem co tydzień. Nagle błysnęła mi w myśli uwaga, że od czasu pewnego p. Adam bywał w Ongrodzie częściej niż dawniej. Nie powiedziałam jej jednak, natomiast opowiadałam dość długo o tem, w jaki sposób przelotnie zobaczyłam dziś p. Felicję Olińską, co odgadywałam z postawy jej i wejrzenia, jak dziewiczą wydała mi się jej kibić a czystą, delikatną i trochę tylko znużoną linja jej profilu.

P. Adam milczał. Szedł chodnikiem obok mnie, a gdy podniosłam ku niemu głowę, zobaczyłam, że twarz jego była w szczególny sposób zmąconą. Niepodobna inaczej określić zmian, które zaszły w niej jak przez wyraz: zmącenie. Przypominała ona powierzchnię głębokiej wody, którą swawolna ręka zmąci rzuconym kamieniem. Powstają na niej tedy ruchy gwałtowne, pogłębiają się linje i tryskają światła, które, gdy dzień pochmurny a woda nie błękitna ani przezroczysta, mają w sobie coś posępnego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WSPOMNIENIA I PISMA

Z CZASÓW MOJEGO WYGNANIA

przez

LUDWIKA KOSSUTHA.

(Ciąg dalszy)

Wasza Cesarska Mość dziwić się może potrosze, a jednak tak jest w istocie, że ja pozostaję w ścisłych stosunkach z członkami stronnictwa prowadzonego przez Cobdena, pomimo iż to stronnictwo unika wojny, której ja całą duszą pragnę, muszę pragnąć, bo tylko wojna dać mi może nadzieję wyswobodzenia ojczyzny. Otóż śmiem oświadczyć jeszcze jedno, mianowicie, że na gruncie politycznym, w sprawach, które niczem nie nadwerężają zasad, stronnictwo to gotowe jest usłuchać i mojego głosu, mojego życzenia. Na domiar, sprawa, która nas zajmuje, z natury rzeczy godzi interesa tego stronnictwa z naszemi, tem bardziej przeto liczyć mogę na stanowcze z tej strony poparcie.

Gdybym był przeto o tyle szczęśliwy, że W. C. Mość upoważniłby mię do działania, potrzebowałbym się jedynie zwierzyć w tajemnicy przed kilkoma doświadczonymi moimi przyjaciółmi w Anglii, a następnie wywoławszy agitację, w sposób, o którym już wyżej mówiłem, prosiłbym ich, aby udali się do lorda Palmerstona i oświadczyli mu, że może liczyć na ich stronnictwo, jeżeli przyjmie dwa warunki; a mianowicie:

1. że zobowiąże się na piśmie w imieniu swojem, oraz tych kolegów swoich, którzy będą wymienieni, że rząd angielski pozostanie neutralny podczas obecnej wojny, a to nawet wówczas, jeżeli cesarz Francuzów posunie swe wojska aż do Węgier, celem ułatwienia nam wywalczenia niepodległości;

2. że do składu jego ministerjum wejdzie, tytułem gwarancji dla przyobiecanej polityki jeden lub dwóch członków stronnictwa manchesterskiego.

Przyjaciele moi nie omieszkaliby przytem zapewnić lorda Palmerstona, że jeżeli wbrew przyrzeczeniom pogwałci neutralność, wówczas niezależni wychodzą z jego gabinetu i *eo ipso* przewracają go.

Uważałbym się za szczęśliwego, gdybym zdołał przekonać W. C. Mość że plan ten rokuje powodzenie. Co do mnie, wierzę w nie do tego stopnia, że prawie gotówbym przyrzec, iż zanim zbierze się parlament angielski, to jest mniej więcej przed pierwszym czerwca, whigowie będą u steru rządu i będę miał niewysłowione szczęście przedstawić W. C. Mości piśmienne zobowiązanie nowych ministrów angielskich, dotyczące zachowania neutralności.

Skoro zaś to właśnie zobowiązanie ma być podstawą i modłą nowego gabinetu, mniemam, że bez trudności przyjdzie posłowi W. C. Mości dać do zrozumienia nowemu angielskiemu *premierowi*, że godziwą byłoby rzeczą, aby i królowa zapewniła Waszą Cesarską Mość o życzliwej neutralności pismem odręcznem.

Cesarz. — To, co mi pan powiedziałeś jest w najwyższym stopniu zajmujące i ważne. Proszę pana zająć się niezwłocznie tym projektem. Co do mnie, proszę być przekonanym że z chwilą zapewnienia neutralności Anglji uważać będą za niebyłą główną przeszkodę ku spełnieniu pańskich patrjotycznych zamiarów.

* * *

Korzystając z tak pomyślnego obrotu rozmowy, poleciłem gorąco cesarzowi sprawę ojczyzny; starałem się udowodnić, że nie podobną jest rzeczą, aby Europa doszła kiedykolwiek do stanu normalnego a pomyślnego, jeżeli nie zostaną przedtem rozwiązane na zasadach słuszności i sprawiedliwości te kwestje, o których rozwiązanie logika historji wielkim głosem woła. Mówiłem mu o prawdziwej sławie, o wielkości historycznej i potędze tego, który przedsięwziąłby to wielkie a zaszczytne zadanie, i tem samem nową w dziejach Europy erę by rozpoczął.

Ale bądź co bądź, to była już gawęda, frazesy. Wspominam też o tem dla tego, że przy tej sposobności Napoleon wyraził się w sposób, dający jeszcze dziś niemal do myslenia, o czem godzi się wspomnieć szczegółowo.

Mówiłem o położeniu niektórych krajów i narodów, i w końcu wspomniałem o jedności niemieckiej.

Cesarz przerwał mi, i ze znaczącym uśmiechem, który dziś jeszcze mam przed oczyma rzekł:

— O, nie. Co do tego nie, nie. To nie byłoby mi na rękę. Niechby już dwoje Niemiec, jeżeli już koniecznie; ale *jedne* Niemcy, przenigdy. Toby mi wcale nie było na rękę. (Ah! quant à cela non. Oh, non, cela ne me va pas. Passe pour deux Allemagnes; mais l'Allemagne *une*, cela ne me va nullement.)

— „Il ne faut jamais vouloir l'impossible,“ Sire, odrzekłem własnemi słowy cesarza, przed godziną przezeń wyrzeczonymi, i spojrzawszy nań znacząco, dodałem:

— Można opóźnić konieczny rozwój faktów dziejowych, ale zapobiedz im niepodobna. Stanąć w poprzek, chcieć je stłumić, mogłoby być rzeczą niebezpieczną.

W dalszym ciągu rozmowy potrąciłem o interwencję obcą, która miałaby oczywiście dla nas ogromne znaczenie.

— Nie ma listu, rzekłem, z Węgier, w którymby mię nie zapytywano ustawicznie o to, czy jesteśmy pewni, że Rosja interweniować nie będzie?

Cesarz zapewnił mię, że pod tym względem możemy być zupełnie spokojni, i że nietylko gabinet petersburski nie myślałby o wystąpieniu przeciwko nam, ale jest do tego stopnia źle usposobiony dla Austrji, że z przyjemnością patrzałby na niepodległość Węgier, rozumie się, o ilebyśmy nie skomplikowali swej sprawy w inny sposób, dla Rosji niemiły. Co do tego ostatniego punktu zalecał mi Napoleon jak największą ogłędność. Przyrzekłem mu ją.

Co się tyczy Prus, cesarz oświadczył, że jak dotąd nie ma obawy, aby gabinet berliński chciał pomagać Austrji czy bezpośrednio czy pośrednio. Żądania wyrażone w tej mierze przez dwór wiedeński nie osiągnęły żadnego skutku. Dodał przytem cesarz, że sam ze swej strony dołoży wszelkich starań, ażeby utrzymać gabinet berliński w tem postanowieniu, i że przypuszcza zarazem, że Rosja nieomieszka go poprzeć w tym względzie.

— Wreszcie, dodał z uśmiechem, gdyby wbrew moim przewidywaniom Prusy wmięszały się do wojny, z pewnością nie w kierunku Węgier rozwinęłyby swoje działania. Ale mam nadzieję, że się nie będą do wojny wtrącały.

Mniemałem, że rozmowa już się skończyła. Jednakowoż nagle cesarz zwrócił się do mnie nawpół z pytaniem, nawpół z prośbą, ażali nie dałoby się wywołać jakiego ruchu powstańczego w Transylwanii...

Odpowiedziałem na to niespodziane zapytanie w sposób kategoryczny i przeczący i prosiłem cesarza, aby porzucił wszelką myśl tej natury. Dodałem, że tajne sprzysiężenia i konspiracje nie leżą bynajmniej w usposobieniu Węgrów. Nie wiedzą oni poprostu, jak sobie z tem radzić.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, — kończyłem — byłoby to wrecz przeciwne temu, co mi obowiązek mój nakazuje. Nie wolno mi krwi madziarskiej lekceważyć.

Cesarz. — Dobrze, nie mówmy więcej o tem. Czy wiadomo panu, jakie i ile wojska ma Austrja w Transylwanii?

Ja. — Wiem, Najjaśnieszy Panie. Najprzód półpięta tysiąca ludzi w dolinie Aluta; skoncentrowane są one głównie w trzech miejscowościach a mianowicie: w Csikszerada, w Brassó (Kronstadt) i w Szeben (Hermanstadt). Dalej ma trzy tysiące w dolinie Maros, zgromadzonych głównie w Marosvásárhely, Medgyes i Gyulafehé vár (Karlsburg); rozpoczęła też fortyfikacje około Déva. Wreszcie półpięta tysiąca żołnierzy jest rozsianych w okolicy Besztercze, Deés i Kolozsvár. Wszystko razem wynosi zatem 12.000 wojska, przytem forteca Gyulafehérvár i miasto ufortyfikowane Szében.

Cesarz wziął ze stolika mapę i zaznaczyłem na niej wyżej wymienione miejscowości.

* * *

Długą tę rozmowę zakończył cesarz następującemi słowy:

„— Zatem rzecz ułożona. Stanęło na tem, że ja przyrzekam, iż wezwę pomocy Węgier tylko w tym jednym wypadku, jeżeli będę mógł wypełnić stawione przez panów warunki; nie — to nie. Zrobię wszystko, co będę mógł aby je wypełnić.

„Co do pana, wracasz pan do Anglji i starasz się uzyskać zapewnienie neutralności.

Tym sposobem usuniemy z drogi naszej największą przeszkodę.

„Upoważniam pana do wyjaśnienia sytuacji, rozumie się z tą dyskrecją i oględnością, jakiej sprawa ta wymaga.

„Zanim upewnimy się o rezultacie pańskich usiłowań, pożądanem byłoby zająć się przedwstępnemi przygotowaniami. Niechaj więc pańscy towarzysze i współpracownicy udadzą się do Włoch. Tam niechaj gromadzą się siły madiarskie do prowadzenia kampanii, i niech zajmą się uorganizowaniem wojska. Rząd piemoncki niezwłocznie zostanie o tem uprzedzony. Postaramy się zaopatrzyć was w pieniądze i broń, i w ogóle zostanie przedsięwzięte wszystko, co okaże się niezbędnem do powodzenia dzieła. Senator Piétri będzie miał sobie poruczone zająć się temi szczegółami.

„*(Do księcia)*. Każ wezwać do siebie jutro Pietrego. Powiedz mu o co chodzi, jakie otrzymuje poruczenie, i niechaj skomunikuje się z panami, aby bez zwłoki można przystąpić do dzieła.

„*(Do mnie)*. Co do pana, rozumie się rozwinie pan jeszcze zapewne w swoim kraju działalność w tym duchu, iżby umysły były odpowiednio usposobione i przygotowane. Zapewne uzna pan za właściwe wysłać emisarjuszów do Bukaresztu i Belgradu. W takim razie mogą oni się porozumiewać z naszymi agentami dyplomatycznymi, którzy otrzymają odpowiednie instrukcje.

„Jak tylko doprowadzi pan do pomyślnego rozwiązania starania swoje w Anglji, proszę jak najśpiesznej przybyć do Włoch. Uprzedzi mię pan przez Pietrego o swem przybyciu. Zawiadomię pana, gdzie będziemy mogli się spotkać.

„Do widzenia we Włoszech!"

Rozmowa była skończona. Podziękowałem już tylko Napoleonowi za życzliwe przyjęcie i żegnając go prosiłem, aby pozwolił mi zwrócić uwagę na tę okoliczność, że Napoleonowie mają oddawna ważne rachunki z domem austrjackim i że obecna chwila, przy współudziale węgierskiego narodu, przedstawia wyborną sposobność ostatecznego tych rachunków zakończenia. Prosiłem go, jako człowiek rzetelny, uczciwy, aby uwierzył w to, że gdy zapisze swe imię w dziejach Włoch i Węgier jako ich wybawca, zapewni dla swej dynastji bezgraniczne poświęcenie dwóch wdzięcznych narodów, na które w każdej okoliczności będzie mógł liczyć. A okoliczności takie mogą się zdarzyć, Najjaśniejszy Panie, kończyłem, bo między przedstawicielami „bożej łaski" a Napoleonami może istnieć tylko zawieszenie broni, nigdy zaś pokój szczery a serdeczny.

Na tem rozstaliśmy się. Ja wyszedłem z księciem Napoleonem.

* * *

Była prześliczna pogodna noc majowa — pamiętam jak dzisiaj.

Gdyśmy wyszli z pałacu Tuilleryjskiego, książę zaproponował, abyśmy zapalili cygara i przeszli się trochę brzegiem Sekwany.

— Nie taję przed panem — zaczął książę, gdyśmy zapalili cygara, że rozmowa tylko co skończona otwiera wolne pole przypuszczeniom i wielkim nadziejom. Winieneś pan być zadowolony z rezultatu. Cesarz był daleko bardziej stanowczy w przyrzeczeniach, aniżeli przypuszczałem. Bo wiadomo panu zapewne, że kuzyn mój zawsze ogromnie skłonny do wahania. Decyduje się z wielką trudnością. Ale jak raz się zdecyduje, to już nie człowiek to granit. *(Tu książę uderzył laską o granitową balustradę, wzdłuż której szedł)*. Nie zawsze możemy się porozumieć. Pamiętam przed zamachem stanu także trudno było nam się zgodzić. *Pan wiesz zapewne, że jestem potrosze republikaninem.* (Vous savez que je suis un peu républicain). Byłem przeciwny zamachowi stanu nie dla tego, iżbym miał być obojętny na urok władzy, ale że mało mię obchodzi tytuł, pod którym się tę władzę dzierży. Prezydent, albo cesarz, czyż to w gruncie rzeczy nie jedno? Wreszcie byłem tego zdania, że przy odrobinie cierpliwości tytuł byłby przyszedł sam z siebie. Ale ci, którzy otaczali mego kuzyna, niecierpliwili się ogromnie. Co do mnie samego, tak byłem nierad temu wszystkiemu, że bez względu na niebezpieczeństwo, zwróciłem uwagę kilku celniejszych republikanów na grożącą katastrofę, rozumie się w chwili, w której można ją było jeszcze zażegnać. Ale co było z nimi począć! To nie ludzie czynu, to marzyciele. (Mais que voulez vous? ce sont des sentimentalistes, ce ne sont pas ds hommes d'action). Ale, ale, obywatelu republikaninie, co powiedzą na to pańscy przyjaciele Ledru-Rollin i Mazzini?

Ja. — Przypuszczam, że im się to wcale nie podoba. Ale wielokrotnie im powiadałem, że istnieje ogromna różnica między Francją a Węgrami. We Francji wszystkie rewolucje miały zawsze na celu zmianę formy rządu, i nigdy innego charakteru one mieć nie będą. Jest to, powiedziałbym, pranie brudnej bielizny między swoimi, jak się wyrażał Napoleon I. Kwestja zagłady lub wskrzeszenia narodowości nigdy w grę nie wchodziła. U nas zaś chodzi o to, czy będziemy istnieli, czy też nie. *To be or not to be.* To nie kwestja formy rządu, to kwestja bytu. Dalej, we Francji rewolucja ma zawsze znaczenie walki ulicznej, i w krótkim czasie rzecz zostaje rozstrzygnięta, ktoś zostaje panem położenia, i zależnie od tego władza idzie na lewo lub prawo i basta. Dowód, że kwestja dotyczy zmiany rządu. U nas jest inaczej. Jesteśmy zniewoleni walczyć o byt narodowy z władzą, która nietylko że nie ma prawa rządzić krajem, ale jest sama zagraniczną, i zawsze gotowa jest zwrócić się przeciw nam z wojskiem zagranicznem i poparta zagranicznemi finansami. To więc, co pospolicie zowią rewolucją, jest raczej w naszym kraju walką o życie; to jest wojna, wojna wielka i ciężka z zagranicznem, obcem nam mocarstwem Słusznie zatem w obec tego poczytywaćbym się mógł za złego obywatela kraju, gdybym słuchał jedynie doktryny politycznej, i wzdrygał się na tej zasadzie podać dłoń moją temu, który spieszy mi z pomocą dla tego, że pomoc z tej a nie z tamtej przychodzi strony. Tam, gdzie chodzi o życie, nie ma w tej mierze wahania. Wreszcie nie zapominajmy, że republikańska Ameryka za-

*

wdzięcza w znacznej części wyzwolenie swe Francji, onego czasu monarchicznej. To też wiele razy mówiłem Ledru-Rollinowi i Mazziniemu, że dla dopięcia celu, który głównie mię zajmuje, nie wahałbym się wejść w sojusz z djabłem samym nawet. Tylko dobrzebym się pilnował, i nie dał mu się zabóść rogami!

Cygara nasze miały się ku końcowi. Książę umówił się ze mną na jutro, celem narady z Pietrim, i odprowadził mię do pułkownika Kiss, u którego oczekiwali mię z gorączkową niecierpliwością przyjaciele. Opowiedziałem im w streszczeniu konferencję moją z cesarzem.

Tu uważam za właściwe wtrącić przypisek z powodu rozmowy, jaką miałem rano u księcia Napoleona, mianowicie z powodu wzmianki mojej o ewentualnem ofiarowaniu księciu korony św. Stefana, na co książę odpowiedział, że Bonapartowie nauczeni przykładem Napoleona I-go, pamiętają dobrze, że członkowie ich rodziny nie powinni zajmować tronów zagranicznych.

Otóż podczas kampanji r. 1859 książę Napoleon dowodził piątym korpusem armji, wysłanym do Toskanii w tym celu, aby się posunął przez Apeniny ku Parmie, do rzeki Po. Operacja ta miała wysokie znaczenie strategiczne, bo zniewoliła Austrjaków w dniu 11. czerwca nietylko do opuszczenia Ankony, Bolonji i Ferrary, ale i twierdzy Piacenzy.

Wszelako historycy włoscy są zdania, że ta wyprawa księcia Napoleona miała zarazem na celu dynastyczne widoki, myślano bowiem o utworzeniu dla księcia osobnego królestwa we Włoszech środkowych. Jakoż zdaje się, że i sam Cavour odgadł tę kombinację, kiedy bowiem dowiedział się, że książę zostaje wysłany do Toskanji, pojechał natychmiast do Aleksandrji do cesarza, starając się go odwieść od tego zamiaru. Cesarz jednak nie odstąpił postanowienia, a kiedy Cavour zauważył, że obecność księcia w Toskanji na czele korpusu francuzkiego może obudzić podejrzenia ze strony większych państw, cesarz spojrzał na Cavoura i odparł sucho na niezadane pytanie:

— Nie mam zamiaru osadzać na którymbądź z tronów włoskich francuzkiego księcia i zawiadomię o tem w swoim czasie większe państwa, jak tego będzie potrzeba.

Co do mnie, jestem zdania, że cesarz nie miał i nie mógł mieć podobnych zamiarów, zanadto bowiem był roztropny, iżby miał się narażać na koalicję europejską. Faktem jest, to prawda, że nie chciał, aby Toskanja została przyłączona do Piemontu; że przy ostatecznem ukonstytuowaniu Włoch, pragnął spotęgować wpływ i znaczenie Francji, i dla tego nie chciał jedności włoskiej. Jestem jednak najmocniej przekonany, że kiedy książę mówił mi, że nauczył się historji swego stryja, że wówczas, powtarzam, nie chodziło mu o jeden z owych czczych a głośno brzmiących frazesów, ani też o wygłoszenie swojego osobistego przekonania, ale że wypowiedział jedną z maksym racjonalnej polityki rodziny Bonapartych.

Nikodem Bianchi w swojem wybornem dziele („Storia documentata della diplomazia in Italia" tom VIII) oświadcza stanowczo, że książę Napoleon, ku wielkiemu żalowi Walewskiego, gorąco popierał myśl przyłączenia Toskanji do Piemontu; tylko ponieważ Bianchi także zdaje się być przekonanym, że wyprawa księcia do Toskanji przedsięwzięta była w celach dynastycznych, dodaje Bianchi, że książę dopiero wówczas oswiadczył się za wspomnionem przyłączeniem, „kiedy nabył przekonania, że obecność jego w Toskanji nie wywołała uczuć, mogących pomyślną stanowić dlań wróżbę."

Mniemam, że znakomity historyk mylił się tym razem, i że daleką była od księcia Napoleona myśl spekulacyjna, o którą zbyt pochopnie go posądzono.

Słowa, które wyrzekł książę Napoleon do mnie z powodu korony św. Stefana, mniemanie to czynią najzupełniej uzasadnionem. Słowa te zaznaczają fakt, nie zaś intencje, i dla tego mają niewątpliwe w tej mierze znaczenie.

Powołam się wreszcie na proklamację księcia Napoleona, wydaną do Toskańczyków w Livorno: Powiedziano tam wyraźnie:

„Misja moja ma ściśle militarne znaczenie; nie mam bynajmniej zajmować się sprawami wewnętrznemi, pozostawię je też na stronie. Napoleon III oświadczył, że nie ma innego dążenia okrom zwycięztwa świętej sprawy niepodległości, i że nie będzie się powodował interesami dynastycznemi."

Słowa te uważać należy za stanowcze i kategoryczne zaprzeczenie insynuacyj do powyższej podobnych. A bez kwestji był książę zbyt ostrożnym, iżby miał tego rodzaju proklamację na wiatr wydawać, a w duszy inne żywić zamysły.

Prawda i to, że generałowie szczególne czasami proklamacje wydają. Tak naprzykład austrjacki generał Gyulay, kiedy wkroczył do Piemontu, obwieścił w proklamacji, że przybył po to:

„Aby oswobodzić Piemont od ucisku, jaki nań wywiera stronnictwo przewrotu."

Oswobodzenie to zaczął generał Gyulay także w dość szczególny sposób, najpierw bowiem oswobodził mieszkańców z wszelkich zapasów żywności, a fakt ten upamiętnił się w Vercelli naprzykład podskoczeniem ceny chleba tylko o 500 procent.

Prowadząc zaś dalej dzieło wyswobodzenia, tenże generał Gyulay oswobodził mieszkańców od niepotrzebnych kłopotów i ambarasów, jakie nastręcza pranie, a to w najprόstszy na świecie sposób, to jest przez usunięcie samej przyczyny, pobudki czyniącej pranie koniecznem, czyli innemi słowy, polecił swoim żołnierzom zabrać wszelką bieliznę, jaka się da. Żołnierze tak sumiennie ten rozkaz wypełnili, że zabrali istotnie wszystko, co się dało, aż do prześcieradeł z łóżek szpitalnych.

Proklamacje zatem nie zawsze prawdę mówią.

Wracając wszakże do proklamacji księcia Napoleona, możemy zaręczyć, że ta mówiła prawdę. Inaczej nie byłby się książę ośmielił powoływać się tak kategorycznie na oświadczenie Napoleona III-go, które bądź co bądź wiązało go w sposób wyraźny w obec dworów. Przeniewierzenie się takiej obietnicy mogłoby naprawdę pociągnąć za sobą interwencję ze strony mocarstw niechętnych, i byłoby dla takiej interwencji najbardziej uzasadnionym pretekstem.

Wreszcie należy przypomnieć sobie i tę okoliczność, że Rosja przyrzekając neutralność, najwyraźniej zastrzegła, że w razie, jeśli cesarz wyzwoli Włochy, nie będzie obsadzał tronów swoimi.

Dla tych więc wszystkich powodów mniemam, że historycy, którzy o wyprawie księcia Napoleona do Toskanji mówią dwuznacznie, posądzając księcia o cele uboczne, są w zupełnym błędzie.

* * *

Nazajutrz po rozmowie z cesarzem pojechałem z Telekim i Klapką do księcia Napoleona. Niebawem nadjechał Pietri. Książę w naszej obecności powiadomił go o wszystkiem, wyłuszczył zaś sprawę tak jasno i dokładnie, że gdy zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy dobrze rzecz opowiedział, oświadczyłem, że niepodobna jego opowiadaniu ani dodać ani ująć jednego wyrazu.

Tym sposobem zawiązaliśmy stosunki z osobistością wskazaną nam przez cesarza.

Tegoż samego dnia ja, Teleki i Klapka ukonstytuowaliśmy się w charakterze komitetu narodowego węgierskiego, i odbyliśmy pierwsze posiedzenie, z którego Teleki sporządził protokół.

Następnie odbyłem naradę z Pietrim i dałem instrukcje Telekiemu i Klapce, którzy niezwłocznie mieli udać się do Włoch celem tworzenia legionów węgierskich.

Urządziwszy w ten sposób wszystko na czas mej nieobecności, nazajutrz, w dniu 7 maja, po trzydniowym zaledwie w Paryżu pobycie, udałem się z powrotem do Londynu, celem rozwinięcia działalności w myśl przyrzeczenia danego Napoleonowi w przedmiocie skłonienia rządu angielskiego do zachowania neutralności podczas wojny.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z PIOSNEK JESIENNYCH.

OWOC BYTU.

Z owoców bytem przezwanego drzewa,
Frukt najsoczystszy, z jego ledwie końcem,
Późnej jesieni wyniańczony słońcem,
Nigdy zaś prawie wcześniej nie dojrzewa.

Nie zna go młodość, nie zna go południe,
Choćby i znały, cierpkim nazwą śmiało.
Nie dziw! Żyć długo, przetrwać trza nie mało,
By się dowiedzieć, jak smakuje cudnie.

Potrzeba pojąć: wszystkiego niestałość,
Kruchość wszystkiego; na światowej scenie,
Potrzeba w brudach wszelką dojrzeć białość,
Blask wszelki dostrzedz pogrążony w cienie,
By, gdzie bezwzględna, dojść, wyrozumiałość,
By, gdzie bezwzględne, wzbić się przebaczenie.

J. S. Chamiec.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Po kilku dniach upałów letnich, kochana jesień uchyliła już rąbek dojrzałej swej szaty, zsyłając nam chłodne wieczory i obfitą perlistą rosę z rana. Lwów zapełnia się przyjezdnymi i wracającymi z wycieczek; młodzież biega po księgarniach prowidując się w książki, rodzice szukają pomieszczenia dla malców, karmiąc ich tymczasem owocami przy każdym straganie. W wysokich sferach rządzących samoistnie i rządzących na wspólkę z pierwszemi, zaczyna

się także ruch z powodu zapowiedzianego otwarcia sejmu w dniu 14. września. Wydział krajowy wydrukował sporą liczbę sprawozdań, mających się przedłożyć sejmowi, Namiestnictwo przygotowuje przedłożenie rządowe w sprawie kwaterunkowej, skutkiem czego, znów jakie kilkadziesiąt tysięcy florenów przyjdzie wydatkować krajowi jako dopłata dla gmin, do taksy za kwatery zbyt nisko w ustawie o kwaterunku postawionej. Jednem słowem, gdzie spojrzysz, gdzie się obrócisz, co usłyszysz — to kończy się na tem, płać panie bracie, nic nie pomoże, płać! Okoliczność ta przypomina bardzo owe dowcipne opowiadanie Imć pana Chryzostoma Paska, podczas wyprawy do Danji, gdzie to mieszkańcom starającym się przebłagać surowość naszego dowódzcy, odpowiadano zawsze jednym wyrazem — Geld, mości panie, Geld..

Otóż z powodu ożywiania się stolicy i spodziewanych obrad sejmu, wystawy zwierząt rozplodowych, chmielu, roślin ogrodowych, targu międzynarodowego i tym podobnych zebrań, rośnie także fantazja dziennikarzy, reporterów i kronikarzy w nadziei, że skończą się już dla nich te uciążliwe ogórkowe czasy, w których częstokroć desperacja bierze, czem tu ten wielki arkusz papieru zadrukować. Łatają, pożyczają od siebie z pozwoleniem i bez pozwolenia, a wszystko to potrawy tak mdłe i nudne, że doprawdy sami się dziwimy pobłażliwości czytelników, że spożywają to wszystko cierpliwie i nie dostają splinu.

Pomiędzy naszą literacką rzeszą, zapowiedziany w dniu 19. września kongres międzynarodowy literacki w Wiedniu, obudza wiele zajęcia. Kilku ze śmielszych i zasobniejszych kolegów naszych, wybiera się na ten międzynarodowy turniej językowy i wiele sobie po nim obiecuje. Rzeczywiście w obec tylu innych spraw społecznych, mających pewne, ustalone warunki istnienia, należałoby się coś więcej pozytywnego na świecie ludziom bądź co bądź reprezentującym publiczną opinję, i markującym każdodzienny moment cywilizacyjny ludzkości.— Nie wiem jak jest gdzieindziej, lecz u nas w Polsce, pomimo tak szybko rozwijającej się działalności literackiej i wydawniczej, los uczonego i literata wcale nie jest godnym zazdrości. Kiedy każden, kto tylko w jaki bądź sposób bierze udział w wykonaniu, a raczej w produkcji utworów literackich, począwszy od fabrykanta papieru, od zecera, drukarza, a skończywszy na księgarzu wydawcy, może zarobić sobie tyle, żeby miał zabezpieczoną starość jako tako — jeden tylko twórca i promotor tego zarobku, człowiek pracujący podwójnie, bo myślą i ręką, człowiek częstokroć znakomitego talentu, nie jest w stanie zdobyć u nas więcej, jak tylko tyle, co potrzeba na skromne bieżące utrzymanie. Dowodem tego jest ta okoliczność, że rzadko który z dzisiejszych pisarzy naszych potrafi żyć z pióra, lecz musi zajmować się taką pracą, któraby mu dała więcej stały i pewniejszy byt na świecie. Jestto krzycząca niesprawiedliwość czy społeczeństwa, czy sytuacji osobliwszej; boć przecie nie musi to być tak łatwą ta sztuka pisarska, jeżeli u nas naprzykład, wśród dwudziesto-miljonowego narodu, najwyżej da się wybrać jakie kilkadziesiąt osób z wybitniejszym talentem, które właśnie prowadzą całą tę nawę produkcji umysłowej, będącą niejako moralną reprezentantką intelektualnych sił naszych, której nadają ruch i kierunek, której przewodniczą i drogę torują... Tymczasem każden najpospolitszy handlarz lub rzemieślnik każden utrzymujący szynk lub restaurację, słowem człowiek nie potrzebujący do swego powodzenia nic więcej prócz mechanicznego zajęcia i trochę sprytu, dochodzi do majątku, a jeżeli nie, to przynajmniej ma tyle, ile mu potrzeba na porządne utrzymanie. — Przeciwnie autor, uczony, literat lub dziennikarz, drżeć musi o każdą chwilę, co będzie z jego rodziną jutro, gdy choroba lub starość wytrąci mu pióro z ręki. A teraz porównajmy położenie moralne takiego zwykłego robotnika czy majstra, z położeniem pracującego umysłowo autora. Jeden i drugi jest za swoją produkcję odpowiedzialnym, ale jak? Majster gdy zrobi zamówiony but czy surdut ma zapłacone za niego i jest spokojny, że obowiązania dopełnił. Tu zaś autor wydawszy na świat swój utwór, napadany jest ze wszystkich stron publicznie, złośliwie, czasami i bezczelnie za to tylko, że towar jego niepodobał się pierwszemu lepszemu pismakowi, że nie komponuje tak jak ten ostatni chce, że nie ma takiego talentu jak ktoś inny, jednem słowem, powołany czy niepowołany na krytyka, li tylko z samej zawiści, lub usposobienia żółciowego, wyciąga tego biednego autora na plac publiczny, tratuje, policzkuje, obrzuca błotem i zjadliwą śliną swej złości, ot tak sobie bez powodu, dla własnej satysfakcji. I wszystko to uchodzi mu bezkarnie, społeczeństwo zżyma ramionami, a często potakuje, zadowolnione, że gladjator jakiś rzuca jej na pastwę choćby najszlachetniejszego lwa i króla pustyni.

Otóż, przy wszystkich rozkoszach autorskiego zawodu, przy materjalnem wynagrodzeniu jego pracy, równającem się płacy pierwszego lepszego czeladnika, dostaje mu się w udziale sława tego rodzaju i wdzięczność narodu. Stawiają mu co prawda czasami pomniki po śmierci, obchodzą wspaniale rocznicę jego zgonu wieńcząc bluszczem popiersia, — ale za życia strują mu każdą chwilę jadem zwierzęcej złości, zniechęcą, przygnębią, a częstokroć i zabiją...

Gdybym chciał okoliczności te stwierdzić przykładami, zdaje mi się, musiałbym wypisać tu nazwiska wszystkich najznakomitszych autorów naszych żyjących czy zmarłych, którym tego rodzaju swawola niepowołanych pismaków zatruwała życie i dotąd zatruwa. Dorwawszy się pióra, indywiduum takie, samo bez żadnych zasług, bez żadnej wartości moralnej i intelektualnej, najczęściej pasożyt społeczny lub samozwaniec, nie mogący znieść jakiejkolwiek wyższości — zamiast traktować rzecz przedmiotowo, rzuca się na wszystko, na osobę, rodzinę, przeszłość, przyszłość biednego autora i odrazu odsądza od wszystkiego.

W życiu codziennem, podobny paszkwil sądy zwyczajne poczytałyby za obrazę honoru i napastnika wsadziły do więzienia. — W literaturze — wszystko to pozwolone, tolerowane, a nawet aprobowane. Autor każden jest człowiekiem publicznym, zatem wolno go publicznie znieważać, bo to się nazywa u nas recenzją. Taki paszkwilista nawet zadziera głowę z uśmiechem tryumfu i znajduje ludzi, którzy mu winszują a inni rękę ściskają, jakby za pewne bohaterstwo. Gdzież tu jest opinia publiczna, gdzie tu jest zdrowy zmysł i dojrzałość narodu, gdzie szacunek dla trudnej i nużącej pracy ducha, dla zasługi, dla poświęcenia, ofiary krwi własnej a często i życia! — Czy to jest możebne i czy tak być powinno?

Za granicą, dzięki Bogu, społeczeństwo ma trochę więcej pojęcia o zasłudze. We Francji naprzykład cała prasa poważna potrafi szanować, jeżeli nie opinję, to przynajmniej swój własny zawód i tego rodzaju paszkwilu nie umieści. Reklamują tam, i osłaniają nawet słabostki autorskie, dla tego też cały świat patrzy z uwielbieniem na tę Francję i sławę jej pracowników umysłowych, sławę daleko mniej zasłużoną od tej, którą my tak poniewieramy i lekceważymy u siebie. Z tego powodu radzibyśmy bardzo, żeby jak najliczniejszy udział w naradach kongresu wiedeńskiego wzięli nasi prawdziwi a nawet pseudo-literaci. Być może przykład obcych, ich wzajemny szacunek dla talentu i zasługi ogrzałby trochę serca zrażone niesprawiedliwością rodaków, tych zaś maluczkich, chybionych samozwańców krytycznych, przekonał o ich niezmiernej małości.

ROZBITKI.

Komedja w 4-ch aktach

przez

JÓZEFA BLIZIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Maurycy (bardzo zdziwiony). Gabrjela!

Władysław. Wszak niespodzianka? chowaliśmy się niemal razem od dzieciństwa, przez tyle lat patrzałem na nią jak na prześliczną kuzyneczkę, z której wdzięków byłem dumnym, ale pomyśleć o czem więcej ani mi w głowie nie powstało, bo to byłbym nazwał poprostu zawiązaniem losu nam obojgu... Wszystko to trwało dopóty, dopókim się nie przekonał, że opierać się dłużej magnetycznej sile, jaką posiada spojrzenie kobiety, nie sposób... pod jej wpływem moje serce zamieniło się w wulkan.

Maurycy. Ty, wulkan!

Władysław. Jak cię kocham, przeobraziła się cała moja natura... więc widzisz! dla czegóż byś ty nie dał sobie rady z Polą, która z pewnością jest pełną najlepszych chęci i niczego więcej nie pragnie, jak kochać!... Tylko uważasz, co do nas, nie mięszaj że ty się do niczego, zostaw to nam samym... kochamy się jak para turkawek, i Gabryeli jestem pewny, ale przewiduję trudności ze strony stryjostwa... ojciec jak ojciec, ale z matką gorzej... robiąc ci zwierzenie zapędziłem się może zadaleko, stało się to pod wpływem naszej rozmowy... więc proszę cię o tajemnicę do czasu... mógłbyś wszystko zepsuć wyrywając się za pośpiesznie.

Maurycy. Mój Władku, życzę wam obojgu jak najlepiej, ale...

Władysław (ściskając go). Tylko zlituj się, żadnych uwag.

Maurycy. Ale bo czy ty się nie łudzisz?

Władysław. Gdyby tak było, to proszę cię, nie otwieraj mi oczu... całą nadzieję złożyłem w tem złudzeniu... niech więc przynajmniej trwa jak najdłużej.

SCENA V.

Poprzedzający, *Zuzia*, *Kotwicz*, *Strasz*.

Zuzia (w kulisie, tonem pewnej zalotności, chcąc odebrać koszyk Straszowi, który go przytrzymuje wraz z jej ręką). Oj, oj! bo to boli... po co pan tak ściska, cóż to znowu... niech mi pan odda koszyk.

Strasz. Powiedziałem, że ci oddam, jeżeli mi dasz całusa.

Zuzia (j. w.) To, to, to... nie mam takich rzeczy na rozdawki.

Strasz. Jakto! taka śliczna dziewczyna i tak nieprzystępna? to grzech!

Zuzia. Tak mnie uczyli.

Kotwicz (dopomagając Straszowi). Ale fe!... i któż taki? jeżeli pan Maurycy, to właśnie powinnaś być z tem otrzaskaną.

Zuzia (hardo, do Kotwicza). A pan co sobie myśli o mnie?

Kotwicz. Że mogłabyś nie robić ceremonji (przytrzymuje ją, a Strasz całuje).

Zuzia (krzyknąwszy). Ah!... (po chw. do Kotwicza, z dąsem) Stary! (w tej chwili spostrzegłszy Maurycego, biegnie do niego zostawiając koszyk w ręku Strasza; pomięszana, tonem jakby szukała opieki). Proszę pana...

Kotwicz. (n. s). Sytuacja naprężona.

Strasz (zbliżając się z koszykiem, który Zuzia odbiera).

Fant wykupiony, oddaję ci... a za przestrach... (sięga do portmonetki).

Zuzia (z pewną afektacją przysuwając się do Maurycego). Niech mnie pan broni...

Maurycy (zimno, usuwając się). Nie udawaj, moja kochana, bo nie zdaje mi się, żeby ci ta napaść robiła tak wielką przykrość...

Władysław. (n. s.) Zawsze go to jednak dotknęło.

Maurycy. A jeżeli naprawdę tak się boisz, to siedź w domu, i nie biegaj po lesie, kiedy wiesz, że możesz kogo spotkać.

Zuzia (zawstydzona). Czyż ja wiedziałam? (po chwili). To tak zawsze: jak napastować to każdy gotów... a do obrony nie ma nikogo.

Kotwicz. Ale bo panowie zapewne się nie znacie... pan Strasz, nowy dziedzic Zagrajewic... sąsiad.

Maurycy. (z dwuznaczną grzecznością). A!... domyśliłem się tego, ujrzawszy na polowaniu osobę nieznajomą.

Kotwicz. Panowie Czarnoskalscy.

Strasz. Bardzo mi przyjemnie.

Maurycy (do Władysława). Idziemy?

Władysław. Zapewne, że nie mamy tu co robić.

Zuzia (zmuszając się do płaczu). Tylko się człowiek wstydu naje, nie wiedzieć z jakiej racji, i tyle...

Strasz (wtykając jej pieniądze do ręki). Weźże...

Zuzia. Niech pan sobie schowa dla innych... (odchodzi).

Strasz, (który zrobił kilka kroków za nią; wracając).

Wiecie panowie, że to bardzo ładna dziewczyna, daję słowo... podobno córka leśniczego, tatki teraz nie ma, wartoby pójść za nią i utulić ten żal... złóżmy jej się na jakiś podarunek... dobrze?

Maurycy (do Władysława). Chodźmy na stanowisko, może się jeszcze co trafi.

Kotwicz. Mieliśmy się tu zejść na bigos.

Władysław (przechodząc koło Strasza, jakby do siebie).

Mała rzecz, a wstyd. (Maurycy i Władysław odchodzą na prawo).

SCENA VI.

Kotwicz, *Strasz*.

Kotwicz (n. s.). Jak oni mu będą takie finfy puszczać, to wszystko na nic się nie zda... a potem będzie na mnie.

Strasz (po chwili). Mój panie, cóż to miało znaczyć?

Kotwicz. Jakto? co?

Strasz. Proszę pana, czy ja jestem smarkacz? powiedz pan.

Kotwicz. Ale zkąd znowu, przecie pan musisz być pełnoletnim.

Strasz. Mam lat 25 i niezależną pozycję... Przyznałem się panu otwarcie, że lubię kobiety, i bardzo lubię, to jest moja słaba strona... a że wyszedłem z pod kurateli, zdaje mi się, że nie mam potrzeby kryć się z tem mojem upodobaniem, i wolno mi je objawić... gdybym przebrał miarkę i obraził przyzwoitość publiczną, jest na to władza policyjna, którąby mnie wsadziła do ciupy, albo kazała zapłacić karę... ale żeby mi jakiś tam arystokrata prowincjonalny ubliżał prawieniem morałów...

Kotwicz. Zupełnie pana nie rozumiem, o cóż chodzi?

Strasz. Pomijam niegrzeczne obejście się tych panów, chociaż zdaje mi się, że kiedy kto mówi do mnie, przyzwoitość nakazuje odpowiedzieć... ale co znaczyło to: „mała rzecz a wstyd“, które jeden z nich powiedział odchodząc.

Kotwicz. Nie słyszałem.

Strasz. To było wymówione z akcentem panie... i musiało mnie obrazić... wdzięczny panu jestem za zaproszenie, ale korzystać z niego nie myślę... ja nie jestem pierwszy lepszy, panie, żebym mógł słuchać inpertynencji i znosić fumy jakichś tam półpanków.

Kotwicz (n. s.). O, jakiś drażliwy (głośno). Ale panie, panie, jaki pan jesteś niedomyślny... a Warszawiak!.. gdzież tu chęć obrażenia... to była prosta zazdrość, a w takich razach trzeba być wyrozumiałym.

Strasz. Jakto, zazdrość...

Kotwicz. Czyż potrzebuję panu tłómaczyć?... wkraczałeś pan na cudze terytorjum, przywłaszczałeś sobie prerogatywy osób trzecich...

Strasz. Aha! teraz rozumiem.. więc ta dziewczyna?... (zapytuje wzrokiem).

Kotwicz (odpowiada podobnież). Emhę!

Strasz. Kiedy tak, to co innego... (p. c.) ale zawsze kwituję z tych stosunków, jest coś, co mi się nie podoba... po co mi się cisnąć do wysokich progów... najlepiej niech swój z swoim poprzestaje!... ot, jak my naprzykład... z panem, ja jestem swobodnym, jakbyśmy się znali Bóg wie odkąd... ale! powiedz mi pan, jakiż pan masz tytuł zapraszania mnie do tych państwa?

Kotwicz. Bardzo prosty... jako ich krewny.

Strasz. Nie może być! pan jesteś ich krewnym?... nie wiedziałem.

Kotwicz. (z pańska). Miałem zaszczyt rekomendować się przy poznaniu... Kotwicz-Dahlberg Czarnoskalski.

Strasz. Także Czarnoskalski? nie uważałem, daję słowo... Kotwicz-Dahlberg, Dahlberg... a, a, a... to pan, co go nazywają hrabią... teraz wiem... (n. s) hrabia von habe.. nichts.

Kotwicz (urażony). Skoro nazywają, zdaje się, że jest do tego prawo... jestem ze starszej linji.

Strasz (n. s.) Jakto szydło wyszło z pustego worka... (głośno). A, to mocno przepraszam... ja bo myślałem, że to tak sobie na żarty... mnie, w kawiarni u Andzi na Trębackiej nie nazywano inaczej tylko hrabią... prawda, że właśnie wtenczas spadła na mnie ta sukcesja.

Kotwicz. Ph!... w knajpie uchodzą takie koncepta.

Strasz (dotknięty). Ale za to nie uchodzi wiele rzeczy, które muszę znosić w salonie.

Kotwicz. Także porównanie!

Strasz. Przedewszystkiem, używam przyjemności otwarcie, nie potrzebując grać komedji, i jestem panem za swoje trzy grosze.

Kotwicz. Ha, są gusta i guściska... ale jako wielbiciel kobiet, gdzież pan szukasz ich towarzystwa? bo kobietę, tak jak się ją pojmuje idealnie, może wyhodować tylko atmosfera salonu.

Strasz. A, winszuję!... ha, ha, damy salonowe... czyż to są kobiety?

Kotwicz. A cóż?

Strasz. Jakieś istoty zagadkowe z obliczem sfinksów, sercem pełnem niestworzonych zachceń, a z pretensjami na aniołów.

Kotwicz. Gdzieżeś je pan miał sposobność tak studjować?

Strasz. Teoretycznie, za pomocą patologji, bo to wszystko się tłómaczy stanem chorobliwym. U Andzi bywał jeden doktór medycyny, młody chłopak świeżo wyszły z uniwersytetu... no! co ten nam nagadał o kobietach, to proszę było słuchać... (stanowczo) Hrabia nie znajdziesz w salonach jednej kobiety zdrowej.

Kotwicz. Ale fe!

Strasz. To jest fakt. Więc co mi za przyjemność... ja nie szukam jakiegoś pół-bożyszcza, przed którem musiałbym chodzić na palcach, tylko kobiety z krwi i ciała, o której byłbym przekonany, że nie dostanie spazmów, gdy jej powiem słowa prawdy bez obwijania w bawełnę... Chcę zdrowej natury, a nie sztuki... Ot naprzykład, ta tutaj dziewczyna, to rozumiem.

Kotwicz. Pod tym względem u młodych ludzi zmieniają się zdania... zobaczymy, co pan powiesz o tem za miesiąc.

Strasz. Dla czegóż za miesiąc?

Kotwicz. No, niby mniej więcej, gdy się porobi stosunki, gdy pan zżyjesz się z naszem towarzystwem i spotkasz w niem zdrowe natury...

Strasz (miękko). Kiedy ja nie mam do tego najmniejszej ochoty.

Kotwicz. To prosty obowiązek, panie.

Strasz (skromnie). Nie myślę się narzucać.

Kotwicz. Narzuca się ten, kto może mieć wątpliwość, jak będzie przyjętym... ale pan nie jesteś, jak sam powiedziałeś, jakiś tam pierwszy lepszy.

Strasz. No, zdaje się... taki majątek jak Zagrajewice piechotą nie chodzi.

Kotwicz (n. s.). Jak zaleciał parweniusz (głośno). Więc jedziesz pan dziś z nami do Czarnoskały, i kwita... i tak, nie dziś to jutro trzeba to zrobić... tego pan nie unikniesz... stanowisko pańskie to nakazuje.

Strasz. Hm!... subjekcja... przyznam się, że mi niepilno... (spoglądając po sobie) zresztą, czyż tak mogę.

Kotwicz. Nie masz pan się w co przebrać?

Strasz. Wziąłem tużurek na wszelki wypadek.

Kotwicz. Ano!

Strasz. Ale nie wiem, czy to uchodzi tak z polowania... nie byłem z wizytą etykietalną.

Kotwicz. Złożysz ją pan później, nic nie szkodzi.

Strasz. Ha, kiedy nic nie szkodzi.. to jazda! (n. s.) co tam!

Kotwicz (n. s.) No, ja już swoje zrobiłem... (wchodzi z prawej strony Łechcińska, przywołuje gestem Kotwicza i zamieniwszy z nim kilka słów wchodzi do domku).

Strasz (n. s). Puszczam się na bystrą wodę. (p. c.) No, i niechże mi kto powie, kiedy ja byłem na swojem miejscu?... czy wtenczas, gdy jako gryzipiórek sądowy wieszałem psy na arystokracji, czy dziś, gdy jestem tak słabym, że mnie te zaprosiny połechtały?... Głupia natura ludzka, daję słowo; czuję formalnie jakiś nastrój uroczysty. Żeby się tylko nie pośliznąć na tych woskowanych posadzkach.. Ale prawda! to za coby dependentowi pokazano drzwi, ujdzie dziedzicowi Zagrajewic... nie ma kłopotu.

SCENA VII.

Kotwicz, Strasz, Szambelanic, Maurycy, Władysław, (później) *Dziendzierzyński.*

Szambelanic. Nie! teraz jest niemożliwem polowanie w swoim własnym lesie, słowo uczciwości daję... komunizm jakiś, zuchwalstwo bez granic... Co to był za jeden?

Władysław (śmiejąc się). Pisarz wójta.

Szambelanic (oburzony). Nie może być!? No patrzcież, i taki fagas, panie, pozwolił sobie zająć stanowisko obok mnie, za pan brat... Lis szedł prościuteńko na mnie, wtem jak go poczuł...

Władysław. Za pozwoleniem, bo to jeszcze pytanie kogo on poczuł... może nie jego, tylko stryja.

Szambelanic (niecierpliwie). Jakże chcesz... palił jakieś śmierdzące cygaro... i nadto jeszcze przygwizdywał sobie, bo to jest!... na stanowisku, gdy psy gonią, słyszałeś co podobnego?... złości mnie porwały... wołam: cicho tam! a ten zdejmuje czapkę i powiada: moje uszanowanie panu dobrodziejowi... jeszcze mi się błazen kłania.

Władysław. No, grzeczny, cóż stryj chce...

Szambelanic. (unosząc się). Mój Władysławie, nie dowcipkuj kosztem zdrowego sensu, a przedewszystkiem nie pozuj na demagoga, bo ja cię dobrze znam.

Strasz (poufale, stając przed Szambelanicem).

To pewno ten sam lis był, co wyszedł później na mnie... nie wiedziałem nawet że to lis, ale domyślam się po ogonie.

Szambelanic (zdziwiony). A!... (n. s.) A to znowu kto?... (głośno). Z kim-że mam szczęście?

Kotwicz (n. s.). A to palnął! (głośno) Przedstawiam kuzynowi naszego nowego sąsiada... pan Strasz, dziedzic Zagrajewic z przyległościami.

Szambelanic (rozweselając się). Aha! to pan jesteś...

Kotwicz. Pan Szambelanic Czarnoskalski...

Strasz (podając rękę). Bardzo mi przyjemnie.

Szambelanic (drwiąco, podając palce). A! i mnie także... nie wiedziałem, że przybył w sąsiedztwo taki myśliwy... Więc jakże to było z tym lisem?

Strasz. Ano, ja stałem, a on przyszedł do mnie... ot tak blisko.

Szambelanic. I nie strzelił pan?

Strasz. Myślałem, że to był pies... chciałem nawet na niego zawołać, bo bardzo lubię psy, ale skorom się poruszył, zniknął mi, tylko zobaczyłem ogon ogromnie długi.

Szambelanic (z drwiącą powagą). No, to oczywiście był lis.

Władysław (do Maurycego). Wiesz ty, że on paradny sobie.

Szambelanic (oglądając Strasza). Dubeltówka ładna, bo ładna..

Strasz. Dałem za nią 200 rubli... lepażówka.

Szambelanic. Widzę, widzę... caca... z tem wszystkiem wielkiej szkody pan zwierzynie nie zrobi.

Strasz. Bo mnie też o to nie chodzi... (poufale) za to na inną zwierzynkę to ja jestem majster.

Szambelanic. Naprzykład?

Strasz (j. w.) Jaką pan Szambelanic masz dziewczynę w tym tu domku, to dawno nie zdarzyło mi się spotkać.

Szambelanic (obrażony). Cóż to za koncept?

Maurycy. Ojcze mieliśmy jechać.

Szambelanic (wyniośle z giestem). Padam do nóg... (n. s.) przyznam się, że trochę zanadto poufałości!... (idą w głąb).

Dziendzierzyński (wchodząc z zającem przy torbie). No gdzie? dokąd?... quousque tandem? już odjeżdżacie? jakże można? comment peut on? ja w najlepsze zaczynam... jestem w sztosie... patrzcie quel zając!

Władysław. I po co to samemu dźwigać, zamiast oddać strzelcowi.

Dziendzierzyński. Savez vouz quoi, c'est bon!... kot moją własną ręką zabity? nie czuję ciężaru... ja to noszę, jak znak honorowy (spostrzegłszy Strasza, do Kotwicza) Qui es-ki-e-sa ce monsieur?

Kotwicz. Strasz z Zagrajewic.

Dziendzierzyński. A! sąsiad, sąsiad.. (idzie do Strasza podając mu obie ręce; nagle wpatrując się weń, n. s.) Jak on mi przypomina...

Strasz. Pan Dziendzierzyński.

Dziendzierzyński. Pan mnie znasz?

Strasz. Doskonale... miałeś pan handel kolonialny na Miodowej ulicy.

Dziendzierzyński (n. s.) To ten sam. (głośno) Tak... z amatorstwa... bawiłem się.. (zaambarasowany) Pardon... (patrzy na zegarek) już tak późno... (n. s.) człowiek, któremu dałem w łapę kilka rubli za kopię wyroku... Jezus Marja... oni chyba o tem nie wiedzą... (głośno) Panie Szambelanie... monsieur Chambelan... ja jadę do was, bo tam jest moja Pola... pojechała właśnie do Szambelanowej...

Szambelanic. I owszem, bardzo nam przyjemnie.. (do Kotwicza który mu mówił do ucha) Co? zapraszać go? a dajcież mi pokój... w imię ojca i syna!... czy ja wiem, co za jeden...

Władysław (do Dziendzierzyńskiego). Oddajże papka tego zająca na wóz, bo krwawi... powala siedzenie w wolancie...

Dziendzierzyński. Comment?... attendez... mam tu papier od buterszniтów... (dobywa z torby, i obwija zająca; odchodzą; Maurycy i Władysław kłaniają się zdaleka Straszowi).

SCENA VII.

Kotwicz, Strasz (po chwili) *Łechcińska.*

Strasz (po chwili). A my?

Kotwicz. Ano, i my jedziemy.

Strasz. Przyznam się, że mógł był ten pan Szambelanic powiedzieć mi choć słówko...

Kotwicz. Ale panie, to jest człowiek, który niewolniczo trzyma się form... nie wypadało mu... zkądże?... wszak to nie jest proszona zabawa... poprostu, pan korzystając ze sposobności, robisz krok grzeczności sąsiedzkiej.

Łechcińska (w progu załamując ręce). Odjechali... cóż teraz będzie?

Strasz (p. c.) Nie jadę.

Kotwicz. Ale panie, dla czego?

Strasz. Stanowczo powiadam, nie jadę i kwita.

Kotwicz (na gest Łechcińskiej, która zaraz znika). No przynajmniej przetrąćmy co, jest tu śniadanie.

Strasz. Gdzie?

Kotwicz. U leśniczego.

Strasz (żywo). A ta dziewczyna jest tam?

Kotwicz (podobnież). Jest! jest!

Strasz. No, widzisz pan, jak mi kto przemawia do rozumu, to zupełnie co innego... (ściskając mu rękę) zgadzam się.

Kotwicz. Więc służę... (n. s. prowadząc go) Gdzie djabeł nie może, tam babę pośle... Referendarzowa da sobie z nim radę... (wchodzą do domku. Zasłona spada.*)

Koniec aktu pierwszego.

Z WYSTAWY DZIEŁ SZTUKI.

(Ciąg dalszy.)

Wystawa ostatniemi czasy znacznie się wzbogaciła, tak co do ilości, jako też i wartości dzieł. Na kartach katalogu znajdujemy zapisane nazwiska głośniejsze, a obok nich godnie występują siły nowe. Najwięcej uwagi zwraca głośno zapowiadana „*Skazana*“ Rossowskiego. Dzieło to, skończone przed rokiem w Krakowie, gdzie artysta pod kierunkiem Matejki w szkole kompozycji pracuje, zyskało w tym czasie szerokie uznanie, tak u nas, jak nie mniej i u Niemców. We Wiedniu podobał się obraz bardzo, a krytyka znalazła nie jedno słowo pochwały dla młodego artysty.

Jako kompozycja nie podpada „Skazana“ zarzutom; taka w niej myśl głęboka, takie pojęcie etyczne, a zarazem umiejętne przedstawienie go na tle minionych wieków, że artyście szczerze można powinszować. Myśl wzięta z owej epoki, w której występek publiczny, publiczną ścigano karą. Zaprowadzona przez kościół publiczna pokuta przyjętą była wszędzie, a u nas wykonywana z największą surowością. Dbano bardzo o to, ażeby i występek ukarać i zapobiedz zgorszeniu. W pojęciach owoczesnych mniemano, że publiczna chłosta, pręgierz, czy też wyświecenie grożą swą zdoła innych odstra-

(*) Podaliśmy akt pierwszy z «Rozbitków» jako próbkę mistrzowskiego djalogu, tej niepospolitej komedji. Całej nie podajemy, gdyż wyszła ona właśnie w tych dniach w oddzielnej książce, nakładem księgarni F. H. Richtera we Lwowie.

szyć od występku. Bo też to były czasy, w których do mas, ogółu, nie można było inaczej przemawiać, jak tylko grozą; ani oświata, ani religja nie wkorzeniły się jeszcze w serca gminu tak głęboko, ażeby do nich w imię idei można przemawiać. Może ten środek pedagogiczny był chybiony, może utrzymywanie nieustanne pod grozą nie zapobiegło wcale złemu, owszem rodziło nowe, bo ukrywanie staranne — to tylko pewna, że długie lata upłynęły, zanim po wielu przewrotach zdołano zdruzgotać tortury, spalić pręgierze i w imię prawdziwej miłości Boga i bliźniego zaczęto usuwać złe a krzewić dobre. Może środek ów zdołał kogo odstraszyć od występku, nie ulega wszakże wątpliwości, że ten, kogo raz postawiono pod pręgierz, nigdy już na drogę dobrą nie wrócił. Nie raz błąd popełniony bezwiednie, karano jak zbrodnię, a napiętnowawszy raz winnego, odbierano mu cześć, a tem samem możność życia uczciwego wpośród społeczeństwa. Głęboko psychicznie pomyślał na ten temat Schiller pisząc powiastkę „*Der Verbrecher aus verlorener Ehre*« a w naszej literaturze powieściowej znalazłby się nie jeden żywo skreślony obraz pokrewny treścią i myślą dziełu p. Rossowskiego.

Ładnie też myśl swą ubrał artysta. Rzecz dzieje się pod murami świątyni Marjackiej w Krakowie. Od strony szarej kamienicy Wierzynka wbita w mur kościoła kuna żelazna, w którą zamykano skazanych. Dziś w żelaznych kleszczach nową widać ofiarę. Jest to dziewczyna młoda. Rysy i kształty piękne, łatwo pozwalają się domyśleć jakie jej było przestępstwo. Stoi wyprostowana, skostniała z bolu, oczy przysłaniają powieki, rzęsy radeby pokryć wstyd, na który tłum wychodzący z kościoła patrzy. Na piersi jest wyrok, wszyscy cisną się ciekawie i czytają »*Skazana*«.

Tak więc sama kompozycja bardzo wiele ma piękna, do tego ugrupowanie dość zręcznie wiąże myśl, tak, że gdy z jednej strony tuż przy ramach widzimy skazaną, a całe płótno zajmuje tłum wychodzących z kościoła, po prawej stronie rysuje się grupa uczuciem pokrewna skazanej. Jest tam kobieta płacząca, którą druga powstrzymuje i jakby w żalu utula, choć sama także czuje wstyd krewnej. W ugrupowaniu wszakże zauważyliśmy zbytni ścisk u wyjścia z kościoła, tak, że figura tłoczy się o figurę i nie ma wolnego powietrza. Winien w tem tak rysunek, w którym artysta wiele ma braków, jak i koloryt, który jeszcze więcej wykazuje stron ujemnych. Kostiumy są tak dobierane co do barw, że niepodobna uzyskać wrażenia całości. Jedna szata, tak dziwnie od drugiej ucieka, że ani myśleć o formacji, a światłocień, który jest podstawą kolorytu, bardzo wiele pozostawia do życzenia. Najdziwniejszą wszakże jest rzeczą, że artysta bardzo słabo maluje twarze. Oprócz jednej staruszki tuż przy skazanej, a która nawiasem mówiąc jest doskonałym typem starej baby, co to zna życie i ludzi i nie dziwi się niczemu, a tem mniej upadkowi kobiety, a jednak przygląda się ciekawie — reszta głów malowana jest słabo. Karnacja twarzy skazanej, tej pięknej, strojnej kobiety i staruszki u jej boku, oraz większej części osób pierwszego planu, jest nie do darowania. W pędzlu ma artysta widocznie jeszcze za mało swobody, lekkości, która tak jest konieczną do delikatnego skalowania barw od śnieżnego alabastru piersi do rumianej jagody i rubinowych ust. Natomiast stroje są malowane starannie. Jeszcze jedno słówko o perspektywie powietrznej. Ta także trochę zawiniła w »*Skazanej*.« Mury zamykają się zbyt ciasno, wszystko tłoczy się zanadto do widza, a drobnoski takie, jak gołębie i kawka podobno, nad głową skazanej nie latają wcale, ale wyglądają jakby naklejone.

Na pozór są to drobnostki, nie podpadające na pierwszy rzut oka uwadze. Pierwsze wrażenie dobre, bo widzi się tylko kompozycję, myśl, której, raz jeszcze, artyście powinszować. Im dłużej się wpatrywać, tem te drobnostki stają widoczniejsze i dla tego o nich wspominamy, bo artysta utalentowany, pod takim zresztą kierunkiem jak Matejki, nie powinien podlegać tego rodzaju wadom i łatwo może się ich ustrzedz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Jokai M.* Niewolnicy miłości. Powieść, przekład Karoliny Szaniawskiej. 8ka, str. 304 318. Warszawa 1881. 1 zł. 50 ct.

— *Kirszrot Józef.* Myśl banku hipotecznego. 8ka, str. 44. Warszawa 1881. 60 ct.

— *Knapiński Wł. ks.* Andrzej Frycz Modrzewski. Pisarz wieku XVI jako teolog. 8ka, str. 48 Warszawa 1881. 75 ct.

— *Kosiński Ad. Am.* Przewodnik heraldyczny III. 8ka, str. 712. Warszawa 1881. Oprawne w płótno 3 zł. 84 ct.

— *Kozłowski S. X.* Katechizm dla dzieci i modlitwy codzienne. Wilno 1881. 10 ct.

— *Kraszewski J. I.* Było ich dwoje. Powieść. 8ka, str. 112. Warszawa 1881. 90 ct.

— *Maurer Roman dr.* Urzędnicy kancelaryjni królów polskich z lat 1434—1506. Studjum dyplomatyczne. 8ka, str. 51. Brody 1881. 60 ct.

— *Mały sekretarz* czyli podręcznik do pisania listów w różnych przedmiotach. (Wyciąg z najnowszego sekretarza). 8ka, str. 207. Warszawa 1881. 90 ct.

— *Mickiewicz Adam.* Pan Tadeusz czyli ostatni zajazd na Litwie. Wydanie z illustracjami Andriollego zeszyt IV. folio str. od 77 do 104. Lwów 1881. 1 zł. 80 ct.

— *Mrówka Jan.* Narada z Kubą jakby sobie radzić bez żydów. 8ka, str. 20. Warszawa 1881. 15 ct.

— *Myśli pobożne* wyjęte z księgi natury. Naśladowanie z francuskiego przez J. N. 16ka, str. 46. Warszawa 1881. 25 ct.

— *Oczko Wojciech.* Przymiot i Cieplice. Wydanie jubileuszowe opatrzone życiorysem i oceną stanowiska naukowego W. Oczki przez dra Edwarda de Klinka oraz rozprawa o języku dzieła przez Ad. Ant. Kryńskiego 4-o, str. CIX i 544. Warszawa 1881. 6 złr. 40 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Społeczne i ekonomiczne.

*** Pani Felicja z Wasilewskich Boberska, przeniosła znany swój wzorowy zakład naukowo-wychowawczy we Lwowie, na ulicę Kopernika, do domu z ogrodem l. 17. I piętro.

Wpisy uczennic, rozpoczęły się z d. 31. Sierpnia, a kurs nauk będzie otwarty 10. września.

W r. b. w Zakładzie pni Boberskiej, oprócz nauki w ośmiu klasach, ma być urządzony kurs przygotowawczy do egzaminu dojrzałości dla kształcących się nauczycielek.

*** Do egzaminu do klasy 2-ej jednego z gimnazjów warszawskich stanęło 30 chłopców.

Miejsc było tylko dwa.

Pierwszym ze zdających, który najlepsze otrzymał stopnie i przyjęty został, jest jedenastoletni chłopczyk, syn włościanina z pod Warszawy.

*** Z Mławskiego donoszą, iż niedawno wpobliżu Mławy miał się odbyć pojedynek: gdy się strony zjechały, zaproponowano pogodzenie, które nastąpiło za złożeniem jednej ze stron 3.000 rs. na szkołę w Mławie.

*** Żydom otwiera się nowe pole!

Związek gmin żydowskich w Ameryce wyznaczył pół miljona dolarów dla zachęcenia żydów do przesiedlania się do Stanów Zjednoczonych.

Każdy nowoprzybylec otrzyma 100 akrów ziemi dla bezpłatnego użytku przez lat 7 i pożyczkę do wysokości 750 dolarów, na zakupno nasion i narzędzi.

Z tego zaproszenia skorzystają zapewne żydzi emigrujący z poludniowych gubernji Cesarstwa rosyjskiego.

Byłoby to w każdym razie praktyczniej, aniżeli przesiedlanie się do Królestwa polskiego, gdzie w tym kierunku panuje już przeludnienie.

*** W Berlinie stały wydział związku lekarskich towarzystw niemieckich wystąpił do urzędu kanclerskiego z prośbą, iżby homeopatom odjętem było prawo dyspensowania lekarstw.

*** Fakultet medyczny w Paryżu wydał niedawno 12 dyplomów kobietom, z których za najzdolniejsze uznane zystały: Amerykanka Poutmann, Włoszka Rosetti i Rosjanka Gonczarowa.

W obecnej chwili fakultet medyczny liczy 42 słuchaczek, a mianowicie: trzy Amerykanki, ośmnaście Angielek, jedenaście Francuzek i dziesięć Rosjanek.

*** Jeden z urzędników telegrafu w Sztuttgardzie wynalazł przyrząd do notowania nut podczas gry na fortepianie.

Przyrząd ten polega na zastosowaniu elektryczności galwanicznej.

Dokonane próby wypadły pomyślnie i przyrząd z całą skrupulatnością notował na pasku papieru nuty, półnuty, ćwierćnuty, interwale, pauzy itd.

Aparat ten może oddać wielkie usługi przy improwizowaniu na fortepianie, szczególnie artystom, którym nie łatwo przychodzi zanotować rzecz wygraną tak, jak im w pierwszej chwili z pod palców się wymknęła.

*** Rząd szwedzki urządza w roku przyszłym wyprawę pod biegun północny do zatoki Mossel na północy Szpicbergu w celu dokonania spostrzeżeń meteorologicznych.

Wyprawą kierować będzie kapitan Malmberg.

Wyprawa zabawi tam rok cały, od lata 1882 roku do zimy roku następnego, ażeby dokonane spostrzeżenia obejmowały cały rok.

Zatokę Mossel ostatni odwiedził Nordenskjöld w 1872 roku.

Z Drukarni „Gazety Narodowej" Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.